

DOM POLSKI

PISMO BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— Poznań, 1 lipca 1889 r. —

Nr. 19.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyą. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Demu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyą.

Hrabina Thea

przez

Elizę Polko.

Tłumaczyła Anna Pilaska.

„Matko droga! Przyjmij Theę otwartemi rękoma i sercem! Zapomnij o wszystkim prócz tego, że jest moją żoną, istotą mającą i mogącą uszczęśliwić Twego syna. Ona ze swej strony, uważając cię za matkę, już jako taką cię kocha, nie znając jeszcze. Ja zaś, wiedząc o Twej dla mnie miłości, nie wątpię, że mej prośbie zadośćuczynisz, a za każde serdeczne słówko i spojrzenie, rzucone mojej Thei, będę ci wdzięcznym do grobu.

Twój ubóstwiający cię, matko droga, syn Edgar.“

Powyższy list napisał przed kilku dniami, a dziś — stosownie do nadesłanej depeszy — powracał z młodą żoną po odbytej poślubnej podróży, ażeby stale na zamku Dorneg zamieszkać. Młode małżeństwo! Coż za ogrom szczęścia, lecz i boleści zawierały te słowa!... szczęścia dla nowo-przybywających, a boleści dla owdowiałej matki dziedzica majoratu, siedzącej właśnie w obszernym, narożnym pokoju z oknami, prowadzącemi na szosę, na której lada chwila karetą, wioząca młodą parę, ukazać się miała. Majestatyczną i piękną dotąd była postać starej hrabiny Berty. Czarne ze srebrem pomieszane włosy okalały, jak ramę, twarz ściągłą; wielkie, ciemne oczy z nieopisanym wyrazem łagodności i smutku błyszczały niewygasłym jeszcze ogniem. Małeńkie usta tylko przybrały z czasem jakiś wyraz smętny, niepozabawiony przecież uroku. Zostawszy wdową w trzy lata po ślubie — a pożycie jej z mężem, aczkolwiek krótkie, było nad wyraz szczęśliwe — odmawiała stanowczo swym licznym wielbicielom, składającym swe serca, miliony, lub godności u stóp pięknej, młodej i posażnej wdowy. Postanowiła ona całe swe życie poświęcić wychowaniu jedynego syna. Jeden z braci hrabiny, dymisjonowany porucznik przybocznej gwardyi cesarskiej, był jej niemałą pomocą, objąwszy nie tylko zarząd nad rozległemi dobrami siostry, ale nadto udzielając rad i wskazówek potrzebnych w kierowaniu wychowaniem synowca. Pod jego więc mężką opieką, opromienioną słońcem miłości macierzyńskiej, wzrastał Edgar. Kiedy skończył lat dziesięć, odwieziono go do zakładu kadetów w B., a rozstanie to pierwsze w życiu z matką

i wujem, których kochał zarówno, opłacił chłopiec tęsknotą i gorącemi łzami.

Zwyciężywszy się jednak siłą woli starał się wżyć w nowe stosunki i otoczenie i wkrótce został najlepszym uczniem zakładu, niemniej przecież czas wakacyi był jedynym słonecznym promykiem, oświecającym długie lata nauki. Krótki, kilka razy do roku powtarzający się pobyt syna na zamku był i dla hrabiny tem, czem dla strudzonego wędrowca zielona oaza w jej samotnem, koczowniczym prawie życiu. Matka i syn nie rozdzielali się prawie i chociaż mieli sobie tyle do powiedzenia, jednakże zdarzało się, że Edgar całe godziny spędzał w milczeniu, siedząc na niskim tabureciku u stóp matki, i marzył z głową, na jej kolanach opartą.

W B. nie wolno mi robić tego, tłumaczył się z uśmiechem, a przecież marzenie jest najpiękniejszą i najrozkoszniejszą rzeczą na świecie. Ale tylko wtenczas, gdy ty przy mnie jesteś, mameczko — dodawał, patrząc jej w oczy z miłością.

Stary porucznik przerywał często te marzenia umyślnie, ażeby synowca do rzeczywistości sprowadzić. Proponował mu zazwyczaj jaką dłuższą, konną przejażdżkę, łowienie ryb i raków w rzece, jaką sąsiedzką wizytę, lub polowanie i tym podobne męzkie rozrywki.

— Niechże go Bóg raczy jak najdłużej ustrzedz od miłości — mawiał nieraz do siostry. — Podobni jemu idealisci biorą każdy blichtr za szczere złoto i nie łatwiejszego, jak go pod tym względem w błąd wprowadzić.

— O to chwilowo zupełnie spokojna jestem — odparła hrabina — kobiety są mu jeszcze obojętne.

— Z wyjątkiem ciebie, i tak też być powinno. Edgar sam mówił mi niegdyś, że ożeni się tylko z kobietą we wszystkim do ciebie podobną, a w przeciwnym razie nie spojrzysz nawet na nią, chociażby księżniczką z panującego domu być miała. Takie są jego zapatrywania w tej mierze, a jednak pewien prawie jestem, że wprost przeciwnie uczyni.

— Czekajmy cierpliwie, Jerzy, ma on na to dosyć czasu przed sobą.

Lecz czas ten minął tak szybko, tak niespostrzeżenie, że hrabina pytała siebie zdziwiona, jak zniknął i co się z nim stało. Z małego, szczupłego kadeta wyrosł świetny oficer, przyszły dziedzic majoratu, mający wstęp do najpierwszych salonów stolicy. Hrabina postanowiła wprowadzić osobiście syna w towarzystwa, w których jej niegdyś tak hołdowano i w tym celu wyjechała na cały sezon zimowy do miasta, aby pierwszymi krokami syna na tej śliskiej salonowej posadzce kierować. Dawne, zapomniane znajomości i stosunki odnowiono, a matka i syn wszędzie, gdzie się ukazali, znajdowali serdeczne, wyróżniające nieomal przyjęcie. Wspaniała postać hrabiny w skromnej, lecz wytwornej toalecie niejednokrotnie podziw wzbudzała.

— Jesteś najpiękniejszą z najpiękniejszych — mawiał jej często syn, powtarzając to, czego drudzy wyznać nie śmieli — inne kobiety przy tobie woskowe lalki mi przypominają.

— Cieszę się z tego — odpowiadała z łagodnym, pełnym tkliwości uśmiechem — chciałabym jeszcze czas jakiś samowładnie panować w twym sercu, zanim mi inna te prawa odbierze.

Z nadejściem wiosny hrabina wróciła do Dorneg, a Edgar za kilkuniedniowym urlopem odwiedzał od czasu do czasu matkę. Krótki pobyt w starym, rodzinnym zamku był dla młodego dziedzica stokroć ponętniejszym od wszystkich balów i zabaw stolicy. Gospodarstwo wiejskie budziło w nim żywe zajęcie, niezmordowanie objeżdżał dzierżawców, dopytywał o ich potrzeby i życzenia, które następnie za wskazówkami stryja zaspokajał. Dla hrabiny bytność syna równała się uroczystości prawie, dowiadując się szczegółów o balach i zabawach z nadzwyczajnym zajęciem, mawiała po wyjeździe syna z dumą do brata: — Dziwnie dotąd nieczułym jest Edgar na wdzięki kobiece i pomimo usilnych starań żadna z uroczych syren usidlić go nie zdołała.

— Nie bądź zbyt wymagającą, Berto, odpowiadał pułkownik, wstrząsając głową. — Co do mnie, to wołałbym, żeby się codzień w innej kochał, niż żeby, cały zapas uczucia w sercu gromadząc, w nieopatrznej chwili u stóp niegodnej go kobiety złożył. Ja, będąc w jego wieku, najmniej sto razy już się kochałem, a pomimo to byłem najstarszym i najwierniejszym mężem dla nieboszczki mej żony. Wierność jest w naszej rodzinie dziedziczną i wśród okoliczności niebezpieczną stać się może.

Hrabina uśmiechała się z dumą.

— Wszystko przypuszczam prócz tego, żeby dla niegodnej siebie miał się zgubić. Raczej królewską córę pokocha, gdyż zwykle w górę, a nie na dół spogląda.

Pułkownik miłczał, nie mogąc przekonać siostry.

Wybuchła austriacko-pruska wojna, a pułk młodego hrabiego był jednym z pierwszych, jakie na plac boju wysłano. Bolesnem nad wyraz było rozstanie tych dwojga tak się kochających istot, poczem hrabina dzień i noc gorąco do Boga słała modły o zachowanie przy zdrowiu i życiu jedyne go syna. Pomimo to Edgar otrzymał ciężką ranę, a kiedy nieprzytomnego odwieziono do wojskowego szpitala w M., już tam jego przybycia oczekiwała strapiona matka. Rana, zadana w prawą nogę, uczyniła go na całe życie do wojskowej służby niezdolnym, a hrabinie trzeba było wystąpić do długiej ze śmiercią walki, zanim odniosła zwycięstwo. Edgar powoli przychodził do zdrowia i po upływie dwóch miesięcy zaledwo był w stanie odbyć podróż do pobliskiego większego miasta P., aby tam do zupełnego wyzdrowienia pod opieką zdolnych lekarzy pozostać.

Utrzymywali oni jednogłośnie, że tylko miłość matki ocaliła życie syna. Hrabina z bohaterskim iście poświęceniem i zaparciem siebie pielęgnowała chorego, pragnąc odgadnąć najmniej jego życzenie. Ale piękne jej czarne

włosy zbieleły w skutek tych przejść bolesnych i siły opuściły biedną kobietę, kiedy nareszcie syna w pewne lekarskie ręce oddała. Nakazano jej spędzić zimę we Włoszech, lecz zgodziła się na swój wyjazd dopiero wtenczas, kiedy syna w wygodnym, prywatnym mieszkaniu w P. umieściła.

— Jaka szkoda — zawołała, stając wraz z synem w oknie maleńkiego, ślicznie umeblowanego saloniku — że ta wysoka, naprzeciwko zbudowana kamienica opóźni ci poranne słońce o godzinę. Przytem zdaje się, że i żadnego ładnego *vis à vis* mieć nie będziesz. Sami drobni kupcy i rzemieślnicy, kilka brudnych potarganych dzieciaków, a tam na poddaszu jakaś szewska prawdopodobnie rodzina, *voilà tout*.

— Uspokój się, mamó, i patrz, że właśnie naprzeciw mam dwa małe okienka z białymi frankami i klatką z kanarkiem. Jestem pewien, że mieszka w tej izdebce jakaś szczęśliwa, młoda para, a zatem studyować ją będę — do dał z uśmiechem.

W kilka godzin później hrabina wyjeżdżała smutna, krzepiąc się jedynie nadzieją spędzenia wraz z synem wspólnie wiosny i lata w starym, rodzinnym zamku Dornegów.

A Edgar? Edgar śledził pilnie maleńkie okienka z białymi frankami i kanarkiem w klatce, lecz co do mieszkańców tej izdebki omylił się bardzo. Zamiast rozkochaney młodej pary ukazywała się w oknie śliczna, złotowłosa główka dziewczęcia, pieszcząc i całując ptaszka. Duże, niebieskie oczy patrzyły przytem na świat Boży ciekawie, a karminowe usteczka wyrzucały tony wesołej, zalotnej nieraz piosenki. Czasami poza złotowłosą wychylała się ciemna, pomarszczona twarz starej kobiety, była to zapewne zła wrożka, strzegąca ślicznej, wesołej czarodziejki. A kiedy wieczor zapadł i mała lampka oświetliła izdebkę, wtenczas dostrzegał Edgar, jak dziewczę strojnie w błyszczącą od złota sukienkę — kwiaty, lub barwne wstążki wplatało we włosy. Następnie światło gasło i okienka aż późno w noc pozostawały ciemnymi. W dzień widział ją także przebiegającą lekkim krokiem ulicę, a z pod szerokiego ronda zalotnego kapelusika rzucała nań przelotne, wesołe spojrzenia, jak ciekawe dziecko, pragnące poznać towarzysza zabawy. Więc i on ośmielony oddał jej pewnego dnia głęboki ukłon w zamian, tak pełen uszanowania, jak dotąd najarystokratyczniejszym i najstarszym paniom w salonach stolicy składał. O krok więc zbliżyli się do siebie. Tymczasem Edgar z chwilą każdą przychodził do zdrowia i mógł już od czasu do czasu wyjeżdżać otwartym powozem za miasto, lub też w godzinach południowych wsparty na kiju krótką w ogrodzie odbyć przechadzkę. Tam ją spotykał niekiedy, lecz jedyną odpowiedzią na jego ukłony był śliczny, zalotny uśmiešek, z jakim obok niego przebiegała. Aż wreszcie on sam zatrzymał ją i zagadnął, szepcząc coś o słońcu i pogodzie — i znów udarowano go uśmiechem wraz z jakąś niedosłyszalną odpowiedzią w dodatku.

Pewnego dżdżystego popołudnia odwiedził Edgara jeden z jego towarzyszy broni, który także lekko ranny do zupełnego wyzdrowienia w tem samym mieście u krewnych zamieszkał. Gaston von Freyen był najlepszym, lecz i najlekkomyślniejszym człowiekiem na świecie. Celem jego życia było przede wszystkim używanie go, a dewizą: *vive la joie!* Jakkolwiek sam był wielbicielem płci pięknej, niemniej przecież nie cieszył się zbytniem u kobiet szczęściem, a przyczyniała się do tego nieobiecująca jego powierzchowność zapewne. Zgarbione plecy, twarz pełna i czerwona, rzadkie, szpakowate włosy i głos, tak przejmujący i krzykliwy, że każde najprostsze odezwanie się, jak odgłos trąby, brzmiało, nie czyniły go do Adonisa podobnym. Niezrażony jednakże niepowodzeniem, składał hołdy u stóp najpiękniejszych, szukając przytem usilnie jakiej bogatej dziedziczki, któraby mu posag wraz z rączką oddała. Poszukiwania te wypełniały mu od lat kilku cały czas od zajęć wolny, jak to jego znajomi i przyjaciele twierdzili.

— Drogi Edgarze — zagrzmiął od drzwi donośny głos Gastona — przychodzę zaprosić cię na jutro do wesołego,

letniego teatryku, gdzie sobie śmietanka tutajsza, przynajmniej mężka jej połowa, *rendez-vous* daje. Jutro właśnie dają jakąś *féerie*, „Piękną Meluzynę“, jeżeli się nie mylę. Będą tańce, żywe obrazy, kuplety i doprawdy nie wiem, eo tam jeszcze więcej. Lilli Margot, trochę przekwitła i otyła, ale przy świetle lamp możliwa, gra rolę tytułową, a oprócz tego ma jakąś młoda i ładna istotka pierwszy raz w tańcach wziąć udział. Do tego czasu śpiewała, ale że głos ma za słaby, więc nóżki jej przyjdą z pomocą. Słyszałem, że ten stary bankier Otter ma być w niej szalenie rozkochany ale, hm! szkoda byłoby Thei dla niego. — To mówiąc, podszedł do okna z zapalonem cygarem w rękę. — Szczęśliwce, zakrzyknął nagle, odwracając się do siedzącego w fotelu Edgara. — Czy kto słyszał coś podobnego! Siedzisz w domu i nic nie mówiąc, potajemnie przyglądasz się całymi dniami mieszkającej naprzeciwko Thei! Oto właśnie otwiera okno i niby bawi się ptaszkiem, a zupełnie co innego ma na myśli. Od kiedy znasz ją do diabła, mówże prędzej!

— Nie znam jej wcale i proszę cię, odejdz od okna — odparł Edgar gniewnie — gdyż inaczej nie pójdę z tobą do teatru. Albo... słuchaj, zejźmy na dół do ogródka i tam przy butelce wina w szachy zagramy.

Ponieważ ładne *vis à vis* właśnie zniknęło, więc Gaston nie sprzeciwiał się temu żądaniu. — Lilli Margot zazdrosna jest na Theę, opowiadał, prowadząc hrabiego ze schodów pod ramię. — Ona pierwsza odkryła, że mała nie ma głosu i za jej namową dyrektor Thei odtąd tańczyć kazał. Wątpię jednakże, czy ma do tańca zdolności. Jutro osądzimy to sami najlepiej i co do mnie bardzo się na to przedstawienie cieszę.

Lekarz, odwiedzający hrabiego, przerwał rozmowę i zaczęła partya szachów. Gaston, wynudziwszy się, pozostając dla formy przez pół godziny w towarzystwie obudwu panów, zajętych dysputą o urządzeniu wojskowych lazaretów, pożegnał się, obiecując hrabiemu, że nie tylko nazajutrz po niego przyjedzie, lecz i po skończonem przedstawieniu odwiezie go do domu.

A więc ta śliczna, złotowłosa dziewczynka nie była więzioną czarodziejką, lecz operetkową śpiewaczką i początkującą tancerką!... Rozkoszne złudzenie zniszczyła niedelikatna ręka — urok prysnął, nie zostawiając nic, prócz rozczarowania i zawodu. Edgar przesunął fotel do innego okna, nie chcąc dłużej na swoje dotychczasowe *vis à vis* spoglądać, a jednak mimowolna, głęboka litość ogarniała go na myśl o tej biednej, ślicznej istotce.

Dziś była jeszcze niewinna i nieświadomą złego, lecz jak długo taką pozostanie? Ktoż będzie przy jej boku i otoczy opieką w chwili pokuszenia? Ach! gdyby matka jego tu była, to poprosiłby ją dla tego dziecka o radę, a ona... ona tak chętnieby jej udzieliła. Lecz przede wszystkim musi Theę choć raz zobaczyć na scenie; niewątpliwie poszła dziś na próbę, gdyż w oknach nie zabłysło dotąd światło. Rozdrażniony Edgar spóźnił się na proszoną kolacją do swego doktora, a następnie skrócił zwykłą partya domina, przegrywając umyślnie ku wielkiej radości przeciwnika. Po powrocie do domu zamiast się położyć, otworzył okno i wsparty o poręcz spoglądał zamyślony w dal. Księżyc oświecał ogród, upajające wonie letnie przesycały powietrze, wierzchołki drzew szumiały z cicha, kołysząc mniejszemi gałązkami. Nagła, niepohamowana tęsknota ogarnęła serce Edgara. — Matko! ukochana, droga matko, wyszeptał kilkakrotnie, wyciągając przed siebie ramiona.

W okienkach naprzeciwko zabłysło w tej chwili światło i ktoś spiesznie jedno z nich otworzył. Jakaś postać kobieca wsparła się o drewnianą framugę, a jasny promień księżyca odzwierciedlił się na złotych włosach maleńkiej główki. Zarumieniony Edgar cofnął się w głąb pokoju, aby nie być przez sąsiadkę z naprzeciwka dostrzeżonym, czekając z niecierpliwością zwykłej, wieczornej, wesołej

piosenki. Ale karminowe usteczka milczały dziś uparcie i dziewczę, ucałowawszy śpiącego ptaszka, zamknęło wkrótce okno i zasunęło firanki.

Młody hrabia przespał niespokojnie noc całą, dziwne sny dręczyły jego wyobraźnię. Stała przed nim Thea w długiej, białej sukni, zdobnej haftem złotym. W maleńkich rączkach trzymając złotą koronę, chciała ją włożyć na główkę, lecz, widąc, namyśliła się inaczej, gdyż, odtrąciwszy godło królewskiej godności, świeżym, mirtowym wianuszkami uwieńczyła skronie. A muzyka gdzieś w ukryciu grała walca tak cudnie pięknego, jakiego nigdy i nigdzie dotąd nie słyszał jeszcze.

Tego samego dnia wieczorem siedział Edgar w głębi maleńkiej łoża letniego teatryku, podczas kiedy olbrzymia postać Gastona całe pierwsze siedzenie zajmowała. Nie wielki teatr zapełniony był po brzegi.

— Spodziewają się dzisiaj jakiego skandalu, *quelque chose de piquant* — szepnął Gaston przyjacielowi. — Thea występuje, jako nimfa wodna, tak przynajmniej stoi na afiszu. Ale patrzaj, Edgarze, ot! tam naprzeciwko w łoży pierwszego piętra siedzi stary Otter, zasłoniony bukietami, które ma zamiar ofiarować Thei. Ha, ha, ha! dyabelnie się na dzisiaj wieczor cieszę.

W tej samej chwili podniesiono jaskrawo malowaną kurtynę i Thea pod postacią wodnej nimfy ukazała się w orszaku pięknej Meluzyny. Otoczona płaszczem złotych, jedwabistych włosów, w leciutkiej, zielonej sukience, ze słodką, śliczną twarzą dziecka była tak cudnie piękną, że zachwycony Edgar nikogo prócz niej nie widział i nie słyszał. Niepokoiła go tylko pewna bolesna chmurka na alabastrowem czole i śmiertelna trwoga i smutek, przebijający w oczach początkującej tancerki. Zatopiony w myślach nie zwracał na nic, co się na scenie i wokoło niego działo, uwagi, i dopiero głośniejsze rozmowy i śmiechy w sąsiednich łożach wyrwały go z zadumy. A śmiano się zapewne z Thei, która właśnie tańczyła. Czyż w rzeczy samej była tak niezręczną? Tak, on sam zauważył to przecież, że po kilku nieudanych *pas* coraz więcej stawała się w ruchach niepewną, a okrutna publiczność tem bardziej się śmiała! Krew uderzyła mu do głowy; wtem Thea, przestawszy tańczyć, tupnęła gniewnie nóżką na wzór rozkapryszonego dziecka i nie czekając końca aktu, spiesznie za kulisy wybiegła. Teatr trząsł się od śmiechu i szyderczych oklasków, nie ulegało wątpliwości, że Thea *fiasco* zrobiła.

(Ciąg da'szy nastąpi.)

Nie, to nie boli.....

Nie, to nie boli wyrzec się nadziei
I jedyne o szczęściu marzenia!...
I wszystkie listki obrywać z kolei
Tej róży, która jest kwiatem z płomienia,
I poza siebie rzucać je powoli.....
Nie, to nie boli!

Nie, to nie boli za każdym czuć ruchem
Pęta, co dłonie skuwają łańcuchem,
I iść swą drogą z posępnym tym zgrzytem,
Słyszeć go nocą i słyszeć go światem
I czekać śmierci, co z niego wyzwoli.....
Nie, to nie boli!

Nie, to nie boli bronić się pieścizocie
 Snów owych złotych co nad głową lecą,
 I ducha wiecznej puślubić tęsknocie,
 I być, jak ognie, co po trumnach świecą,
 I być, jak kwiecie na cmentarnej roli....
 Nie, to nie boli!

Budzić się co dnia o zarannej zorzy
 Z myślą, że dzień ten przejdzie bezsłonecznie,
 A kiedy pierś się pragnieniem otworzy,
 Mówić: „Zapomnij i milcz!“... mówić wiecznie,
 I w drżącym sercu czuć zawsze szpon woli...
 Nie, to nie boli!

Nie, to nie boli wyciągać ramiona
 W cichość i w ciemność — i czuć, jak w tej ciszy
 Krzyk, wołający imię twoje, kona —
 I jak w niej druga pierś tęsknotą dyszy!
 I wiedzieć, że nic nie zmieni tej doli....
 Nie, to nie więcej, niż nóż w sercu, boli!

Marya Konopnicka.



KORRESPONDENCA „DOMU POLSKIEGO“

Zpoza kordonu.

Cieszyliśmy się z miesiąca maja, lecz bardzo niezadowoleni jesteśmy z czerwca. Rolników dręczy on suszą burzami, gradem, piorunami — a mieszkańców miast piecze upałami nie do zniesienia. Zrządzone zbyt długą i śnieżystą zimą szkody w urodzajach ozimych mają naprawić, czerwiec zaś niweczy dobrodziejstwa swego poprzednika. Drzewa owocowe obiecywały świetny urodzaj, kwiat przebył swój okres istnienia nader pomyślnie, lecz z powodu obecnej suszy zawiązki spadają gradem na ziemię. I tu więc zawód.

Z ciepłej wiosny i obecnych upałów korzystają wszelkiego rodzaju owady, chrząszczyki, gąsienice, mszyce, zjadając liście drzew; mnogość komarów i ich ukąszenia przypominają strefy południowe. Karnawał letni w Warszawie skromniejszy jest, niż zazwyczaj — pobyt szacha perskiego wypełnił po części ów brak. Kupcy zacierali ręce, bo pozbywali się drogocennych towarów, czekających od dawna w sklepach na lepsze czasy. Publiczność miała widowisko bezpłatne z wschodnich postaci; dzienniki znajdowały treść do zapelnienia łamów różnymi epizodami. Słowem stolica nasza rada była gościowi, choć przyjęcie go kosztowało podobno 200,000 rubli, ale był to wydatek, przez magistrat wyłożony, o którym ludność na razie nie wiedziała.

Monarcha perski podobał sobie widocznie w Warszawie, przedłużał pobyt, zwiedzał wszystkie osobliwości miejskie i zamiejskie. Nic dziwnego! Wszakże nie ma gościnniejszych, uprzejmiejszych gospodarzy nad Polaków, a wyznać należy — i Rosyan.

Pogodny, ciepły maj sprzyjał majówkom i różnym wycieczkom za miasto z muzyką, z tańcami i naturalnie z wykwiwnymi obiadami. Bielany od dawna nie widziały takich tłumów, takiego zgiełku, jak bieżącego roku, statki parowe doczekały się obfitego żniwa.

Odbyła się w Warszawie wojna... pomiędzy finansistami. Pisaliśmy dawniej, o co chodziło. Nabywcy akcyi drogi żelaznej tarnowsko-wiedeńskiej, Belgowie i Francuzi, zauważyli, że w sprawozdaniach zarządu zbyt wielka

zachodzi różnica pomiędzy dochodami brutto, a zyskami netto. Zaczęli więc śledzić bieg interesów i odkryli niektóre operacje niekorzystne dla akcjonariuszów, ale bardzo korzystne dla członków zarządu, bankierów warszawskich. Zjechali się więc licznie, odbyło się kilka posiedzeń i nader burzliwych, i w końcu Belgia odniosła zwycięstwo.

Cały skład zarządu odmieniony został. Wyrzucono ks. Lubomirskiego, Kronenberga, Rynczewskiego, a przyjęto p. p. Majewskiego, H. Święcickiego, Gołowicza i jednego Francuza. Dotychczas nie wiadomo, czy ogół cokolwiek zyska, lub straci na owej zamianie, przedstawiciel cudzoziemców, baron Lysen, zapewnia publicznie, że nikt nie pragnie oszczędności ze szkoda przedsiębiorstwa, publiczności, że zamach skierowany był przeciw tym, którzy zagarniali dla siebie największe zyski.

Na tym zjeździe zyskali artyści-malarze, bo panowie ci zakupili dość znaczną liczbę obrazów, wywieszonych w salonach artystycznych.

Wystawa pracy kobiet ściągą odwiedzających, lecz nie osiąga głównego celu t. j. zbytu przedmiotów wystawionych. Staje na przeszkodzie wysoka cena. Praca ręczna jest niezawodnie trwalszą, gustowniejszą, lecz pochłania dużo czasu, a zatem musi być droższą, a myśmy się już przyzwyczaili do towarów lichych a tanich.

Ktożby n. p. przed 30 laty był włożył na siebie haft maszynowy? — nikt. Każda dziureczka musiała być obszyta sztywno, jakby w drucik osadzona, każdy listeczek musiał mieć wypukłość i gładkość atłasu, dzisiajsze hafty nie posiadają tych zalet, ani w przybliżeniu, a nosimy je wszyscy.

Przypominają mi one pierwsze moje próby hałciarskie z dziecięcych lat, za które otrzymywałam ostre napomnienia; w ogóle pod względem robót, zwanych kobieciami, staliśmy się bardzo niewybrednymi, a samo szycie maszynowe nie zastępuje szycia ręcznego.

Na niwie literackiej p. Marya Rodziewiczówna roztoczyła bujne płody swego pióra. Autorka niezaprzeczenie ma talent, lecz powodzenie prowadzi ją na fałszywe drogi, tworzy ona zbyt wiele, powtarza się, popada w manierę. „Kłosa“ ukończyły druk jej powieści p. n. „Kwiat lotosu“; „Tyg. Ilustrowany“ daje „Złotą dolę“. Krytyka oddawała ogólne pochwały charakterowi Marka Czertwana z „Dewajtisa“ i jego jednolitość, hart, nieokrzesanie zewnętrzne, połączone z nastrojem poetycznym umysłu, podobały się. Jest to niezaprzeczenie nader piękny odlew, choć bardzo daleki od realizmu. Otoczenie i warunki bytu wpływają potężnie na człowieka, a umysł, rozwijany w jednym kierunku, musi przyjąć właściwe cechy.

Kto ciągle handluje, orze i sieje, a nie czytuje książek, nie przebywa w odpowiednim towarzystwie, zadawała się obcowaniem z gminem, ten musi zatracić poetyczny nastrój ducha i stać się groszorem.

Marek więc nie jest prawdopodobnym, a mniej jeszcze prawdziwym jest Rafał Radwan w „Kwiecie lotosu“.

Jest to wielony szatan, nikogo nie chce kochać z zasady, ludźmi i ich ideałami pogardza, nie zna uczucia liłości dla cierpiących, nie zna szacunku dla zaślugi i cnoty.

Nie jest to typ nihilisty, który — bądź, co bądź — ma jakieś ideały społeczne i chce je osiągnąć za pomocą pandestrukcji. Radwan nie łączy się z anarchistami, nie wiadomo, czego chce, za czem goni. Nie tkwi w nim też owa iskra, która roztlona w pochodnię, „pcha do szkarłatu i z pastuszego kija robi berło światu.“

Słowem nie ma w nim nic ludzkiego, a jednak w końcu nawraca się, staje się pokutnikiem. Trudno zrozumieć, jakie czynniki przywiodły go do tego kroku. Umysł człowieka może przyjąć najpotworniejsze teorie, lecz, jeśli pierwiastki charakteru będą z niemi niezgodne, uczucia i czyny będą także w niezgodzie.

W Rafale zbudziło się wprawdzie uczucie podobne do przyjaźni, którym sam pomiatał, za które strzelił z rewolweru do własnego serca za to, iż śmiało być nieposłuszne

rozkazom rozumu, lecz walki podobne powinny były go na każdym kroku spotkać, jeśli nie miały być anomalią. Kto mógł patrzeć obojętnie na powolne konanie w męczarniach adeptki swych doktryn dla tego, że była brzydka i schorowaną, a zapłonąć dla niej żądzą, gdy wyzdrowiała i wypiękniała, ten nie będzie zdolny do uczucia przyjaźni, na które zdobyć się potrafią tylko szlachetne i wysoko uczuciowe natury.

Z ludzi, u których na podkład egoizmu podają teorie, wyznawane przez Radwana, wyrabiają się tacy Eugeniusze z „Pierwotnych“ pani Orzeszkowej — idą w świat robić fundusz bez względu na środki, prowadzące do celu.

Treść powieści jest następująca:

Rafał Radwan, syn doktora medycyny, znakomitości naukowej, rozgłośnej za granicą, znajduje się na jakimś uniwersytecie w Rosyi. Mieszka u Białorusinki, wdowy Brezowej, zajętej aż do maniactwa procesami o sukcesy. Kółko domowe składają jeszcze: Feliks Rahoza, syn bogatego dziedzica, lekkoduch, Mieczysław, syn leśniczego dóbr Rahożów, łagodna, kochająca, poetyczna dusza, i córka gospodyni Leonka, trawiona malaryą i gorączką, wywołaną teoriami Rafała i miłością dla niego.

Radwan nienawidzi Feliksa, drażniącego jego miłość własną drwinkami — pomiata i szydzi z Mieczysława, a przewraca w głowie Leonce. Zaproszony na wakacje do leśniczówki przez Mieczysława, na złość Feliksowi bałamuci jego ukochaną, rozmyślnie ułożoną sceną miłości rozdzrania współzawodnika i zabija go w lesie w improvizowanym pojedynku, bez świadków.

Przygoda ta nie robi na nim żadnego wrażenia. Opuszcza uniwersytet, gardzi nauką, błąka się po świecie, strzela do własnego serca, uczuwszy żal nad umierającym kolegą, lecz się nie zabija. — Wyzdrowiony wraca do Rahozy, aby na grobie ojca Mieczysława postawić pomnik; tam spotyka dawną swą uczennicę, jako praktykującą lekarkę w miasteczku, zdrową i wypiękniałą, i pragnie ją posiadać. . . . bez ślubu. Nie cofa się przed gwałtem, dopina celu. — Shańbiona dziewczyna odbiera sobie życie, a zbrodniarz nawraca się i pokutuje.

Uczucia, niepodane analizie, nie uprzedzają faktów, które, jako niespodzianki, rażą czytelnika nieprawdopodobieństwem — i zamiast przerażać, albo wzruszać, budzą śmiech, lub wstręt.

Słowem — p. Marya Rodziewiczówna w powieści tej na złą weszła drogę i powinna wrócić się z niej coprędzej, inaczej szkoda jej talentu. Powodzenie obowiązuje.

Autorce potrzeba jeszcze wiele pracować, badać życie, a nie wysilać się na efekta i bombastyczne zwroty stylistyczne, bo to nie prowadzi do niczego.

A. M.

Ze wsi, w czerwcu.

Ile razy biorę za pióro korespondentki „Domu polskiego“, zawsze mimowoli myślę o pracy kobiet, a w szczególności o działalności i zajęciach pańien i z żalem widzę, jaka na tem polu w społeczeństwie naszym panuje posucha i martwota; zdawałoby się, że powszechnej w tym względzie ospałości, epidemicznej — że tak powiem — drzemce najczynniejszy umysł oprzeć się nie zdoła — obojętność w tym kierunku stała się ogólną i mimo nawoływań jednostek wyjątkowych żadnego nie można dopatrzeć się postępu. I czyż to tak trudno zająć się czem użytecznym i skutecznym? . . . Niech no młode nasze Polki — mianowicie na wsi — zbrzydzą sobie role bezczynnych, wyczekujących tylko na konkurentów pańien na wydaniu i rwą się do czynu, do pracy, a znajdą ją niezawodnie przy dobrej woli; niech się zbudzą ospałe z obojętności i apaty, a z pewnością przyniosą krajowi pożytek z swych

młodych umysłów i sił. Los wiejskich pańien jest obecnie tak smutny, że sama nawet konieczność powinna je nakłaniać i zachęcać do pracy dla rozrywki, dla stworzenia sobie celu w życiu. Dawniej bawiono się więcej, po umiarze się bawić w miarę, wedle możności, zjeżdżano się więcej — i młode osoby wcześniej wychodziły za mąż. Dziś szczególnie po stronie żeńskiej młodzieży blichtru i zarozumiałości wiele, im większa bieda, tem więcej pretensyi i próżności, tymczasem w głowach i sercach pustka i brak zupełny zrozumienia przyszłych, ważnych obowiązków. Dziś wiele młodych osób stara się o patent złożonego egzaminu dojrzałości, ale bardzo mała liczba dąży przede wszystkim do podniesienia i ugruntowania swej istoty moralnej, coby myślała zdrowo, czuła głęboko, szanowała obowiązki, zakreślone jej przez uzyskane w społeczeństwie stanowisko i zawczasu sposobiła się do ważnej roli gospodyni domu, żony przykładnej, matki i wychowawczyni wzorowej i umiejącej przyszłego pokolenia. — Bez wątpienia, że tutaj wina głównie leży po stronie wychowania; matki w rzeczywistości nie lubią powierzać nawet dorosłym córkom zajęć domowych i gospodarskich, bo się narażają na wiele niedokładności ze strony nowicjuszek, zapominając zupełnie, ile same przejść musiały, nim zdobyły dzisiajsze doświadczenie i zostawiając wszystko przypadkowi. Tymczasem tak być nie powinno. Wychowanie kobiece tak obszerne otworzyło sobie pole samodzielności, że trochę emancypacyi w tym kierunku nader szczęśliwe wydałoby owoce. W obecnych naszych trudnych stosunkach zapóźno jest nabywać doświadczenia, gdy się już jest samodzielną panią domu — jak rzadzić, jak gospodarzyć z własną i ogółu korzyścią, należy się uczyć pod dachem rodzicielskim. Więc od nas tylko zależy, aby otrząsnąć się z martwoty; działajmy, pracujmy, w jakim się da, zakresie; chciejmy patrzeć, pytać, słuchać, nie ma bowiem miejscowości, w której stale przebywamy, lub ją zwiedzamy, ani umysłu, z którym się ścieramy, od którego czegoś nauczyćbyśmy się nie mogli dla pożytku własnego, albo drugich. Dobrze ktoś powiedział, że chwile najodpowiedniejsze do gromadzenia wiadomości, do otrząśnięcia się ze złych przywyknień i zyskiwania nowych nabytków wszelkiego rodzaju użytecznej wiedzy są te, w których mamy największy zapas młodości i siły; a jeśli rozpowszechnia się coraz bardziej prawda, że: „czas — to pieniądz“, pamiętajmy, że przede wszystkim w latach młodzieńczych każda chwila powinna być korzystnie zużytkowaną — stracona zaś przynosi niezliczone szkody tak moralne, jak materialne. Umiejmy się z tym szybko w przeszłość staczającym się czasem umiejętnie obchodzić, a da on nam wszystko, co nasz wiek, nasze życzenia zadowolili zdoła. Potrzeba także pewnego systematycznego rozkładu godzin i trzymania się ściśle określonego planu. Starzy Rzymianie mieli za zasadę życia: „trzymaj się ładu, a ład się ciebie trzymać będzie“, a komuż właśnie wykonywanie tej dewizy potrzebniejsze, jeśli nie pani domu? Osoba, najwięcej oddana obowiązkowi swoim, gdy ładu w nich nie przestrzeżę, odstręczy otoczenie całe; ład jest nawet jednym ze środków doskonalenia się, bo wyrabia w nas siłę woli i zadowolenie wewnętrzne z dobrze użytego czasu. Niech nas nie odstrasza, że takie poważne na świat, życie i jego sprawy poglądy, wprowadzenie w użycie czasu ładu i porządku nazwą niejedni systematycznością i pedanterią staropanieńską; bo — bądź, jak bądź — stokroć lepsza, skuteczniejsza taka pedanterya, niż beczynne, marzące wyglądanie wybawiciela z pańienkiej niewoli. Naszej biednej ojczyściej ziemi nietylko kobiet uczonych potrzeba, ale coraz więcej trzeźwo się na życie zapatrujących, mniej wierzących w ślepe szczęście i pocieszających się dawną dewizą: „Jakoś to będzie“, a więcej takich, dla których żadna dla dobra narodu praca nie byłaby za trudną, żadna przeciwność nie do zwalczania.

Wielkopolanka.

Z DOLINY ŁEZ.

Straszliwe nieszczęście, spowodowane wyłączną ufnością w opatrność i pomoc Bożą przy nagany godnem niedbalstwie, nawiedziło Pensylwanią, zabierając podług ostatnich obliczeń 15 tysięcy ofiar w ludziach. Zgroza przejmując, czytając bliższe szczegóły okropnej klęski. Dnia 27 maja r. b. odebrano w New-Yorku o godzinie 5-tej po południu telegram z miasta Johnstown następującej treści:

„Podobno zagraża nam powódź, rezerwoar i tamy są w złym stanie.“ — W kilka minut potem nadeszła depesza: „Tamy przerwane, woda zalewa miasto.“ W chwilę później wiadomość brzmiała: „Woda pierwszego dosięgła piętra, zdaje się, iż...“ więcej słów nie było.

Depeszę nadesłało młode dziewczę, telegrafistka urzędu pocztowego miasta Johnstown, która, zatrudnioną będąc przy telegrafie na drugim piętrze, jak żołnierz wytrwała do ostatniej chwili na posterunku.

Dopiero następnego dnia dowiedziano się o okropności klęski, która uroczył dolinę, zamieszkałą przez nader sympatyczną ludność, w dolinę łez i rozpaczy, 21 mil długą i pół mili szeroką, zamieniła.

W oddaleniu ośmiu klm. od miasta znajdował się rezerwoar ogromnych rozmiarów, bo 8 klm. długi, 3 $\frac{1}{2}$ klm. szeroki, zabierający wodę, napływającą z górskich potoków.

O słabości fundamentów wiedziano od lat kilku, a już przed rokiem w wiosennej porze zagrażało nieszczęście. Daremnie zzywał jednakże zarząd kolejowy o naprawę podmurowań, które się rysować poczęły i groziły rozerwaniem. Był to głos wołającego na puszczy. Ludność miasta i wiossek z niewytłomaczoną, niewłaściwą Amerykanom nieprzeornością wyszydziła zdania znawców usty, co niedługo zamilknąć miały na wieki. Straszliwym był dzień czwartkowy, w którym nagle około godziny szóstej nad wieczorem wał wody 20 stóp wysoki, z oddali przedstawiający się na kształt obłoku, lub wysokiego tumanu kurzawy, z ogromnym łoskotem rzucił się na miasto, poprzedzony przez rozpaczliwe krzyki ludności, daremnie szukającej ratunku. Potężną, zgrozą przejmującą była siła rozszalałego żywiołu. Domy chwiała się kilka minut w posadach swych, nagle oddzielone od fundamentu poczyniły chwilę wirować, aby następnie w szczątki rozbite, unosząc na dachach swych kilka osób, szukających tamże ratunku, popłynąć dalej.

Ocalić zdołała się maleńka tylko liczba osób, zbiegłych na wzgórze, lub unoszonych na dachach, a którym z pomocą podążyli mieszkańcy dalszych okolic. Działy się tam sceny okropne, których żadne pióro na papier przeniesić nie jest zdolne. Widziano na dachu młodego mężczyzny, tulącego w ramiona swe dwie kobiety, z których jedna żoną, druga matką być się zdawały, człowieka, wzywającego głośno ratunku. Pale pędziły ich szybko w stronę mostu, z którego spuszczone linę w nadziei, że nieszczęśliwi, jej się uczepiwszy, znajdą ocalenie, lecz daremni byli ich usiłowania. Widziano następnie przy dopływie do drugiego mostu, jak młody ten człowiek wymownymi gestami pouczzał kobiety, w jaki sposób linę, spuszczonej przez pełnych poświęcenia ludzi, pochwycić zdołają. Mężczyzna ujął ją silnie, zawisł w powietrzu i okrzyk szczęścia zabrzmiał w górze... gdy nagle — ocalony już prawie — puszcza linę na widok, że towarzyski jego nie zdołały jej pochwycić. Okrzyk żalu i zdumienia nad bohaterstwem rozlega się ponad głowami dalej płynących, mężczyzna dziękuje ukłonem, podczas gdy oko wyteżone szuka ocalenia. Dopłynąwszy do drzewa — przychyliła zwieszoną gałąź, kobiety przy jego pomocy już ocalone, lecz z pod nóg bohatera człowieka dach odpływa i on zawisa, uczepiwszy się gałęzi, połową ciała w straszliwej topieli. W tejże chwili most nagle chwiać się i łamać poczyna, a w nurtach wody znaj-

dują śmierć ci, którzy niedawno jeszcze drugich z jej objęć wyrwali; jedna z belek uderza w drzewo, na którym troje nieszczęśliwych ocalenie znalazło i silnem jego wstrząśnieniem sprowadza zgubę po tylu wysileniach z objęć śmierci przed chwilą wyrwanych ludzi.

Tam stoi, osłupiałym wzrokiem spoglądając przed siebie, młode dziewczę boso, w jednej spódniczce, szalem obnażone okrywając ramiona. To może biedne dziecko z ludu?... Nie, to najpiękniejsza i najbogatsza kobieta, jedyna córka bogatego bankiera, której całym dziś majątkiem ta przemoczona spódniczka. Obląkana od bólu, z zaciśniętymi ustami błędnie patrzy na ludzi, nic nie wie, prócz tego, że sama jedna ocalenie znalazła — że jest opuszczoną sierotą.

Dalej słyhać straszliwy krzyk rozpaczy, płynący z ust załamującej ręce kobiety, która głośno się skarży: — Uciekliśmy na najwyższe piętro, widzieliśmy, jak sąsiednie domy ginęły nam z przed oczu w wodę topieli, ludzie tonęli, daremnie wzywając ratunku. Tuż pod okno dopłynął dach domu i przyparty falą silnie oparł się o mur kamienicy. Mąż mój wyskoczył oknem na niego, podałam mu wszystkie siedmioro drobnych dzieci, z których najmłodsze czteroletnie wołało: Chodź, mamo, chodź prędko, Bóg nas ocali, wszak zawsze modlić mi się do niego kazałaś — ja będę pacierz mówić. Stałam na framudze okna, mąż do mnie wyciąga ramiona, nagle spiętrzonej wysoko stos belek i murów uderza kruchy ten prom i pogrąża go w wodę głębinię. Słyszę dotychczas krzyki, których nigdy nie zapomnę. Jak ocalałam, nie wiem, straciłam przytomność, na drzewie podobno dopłynęłam do brzegu. Dziś straszne robi mi serce wyrzuty: jam namówiła męża do opuszczenia Wirginii — o! czemuż raczej wspólnie z nim i dziećmi nie skonałam.

A scen podobnych, gdzie rozpacz graniczy z szalem — jest bez liczby. Byli ludzie-szakale, co, wietrząc łup, zbiegli się z okolic, aby trupy odzierać i znieważać zwłoki. Uzbrojeni w długie żerdzie przy świetle latarek błądzili nocą nad brzegiem topieli, dopuszczając się rzeczy, przejmujących wstrętem i zgrozą. Ocalona ludność, dowiedziawszy się o tem, ujęła zbrodniarzy, z których wielu zbiedz jednakowoż zdołało, a znalazłszy w kieszeniach kilku Węgrów poodcinane palce z pierścionkami, oburzona — karała ich prawem lynchu, do mokrej strącając topieli. Na domiar nieszczęścia zapaliły się budynki i magazyny, należące do zarządu kolei żelaznej, i wielu, co w nurtach wody nie znaleźli śmierci, padli ofiarą płomieni. Z pomiędzy mieszkańców leżącego obok hotelu Hurlburt na 75 osób 2 tylko zdołały ująć śmierci. Z wodą spłynęło na brzeg około 50 beczek *whisky*; lud zropaczony, oszalały rozbijał beczki te, szukając w trunku odurzenia. Widziano młodego, znanego z trzeźwości człowieka, który, upojony, ze słowami: Chcę umrzeć! moja żona i moje dziecko są tam — coż mi po życiu! — skoczył do wody.

W pewnej odległości od miasta stała ogromna huta żelazna, obok tejże leżarnie maszyn parowych; dzisiaj nie ma z nich śladu. Na miejscach, gdzie niedawno wspaniałe stały kamienice, dzisiaj ukazują się oczom głębokie wyłobienia, wypełnione wodą. Z wiossek niektórych nie pozostało ani śladu, spiętrzone tylko, do wysokości 50 stóp sięgające szczątki budynków, mostów, wagonów dają świadectwo o istniejącem niedawno mieście i wioskach.

Powyższy opis słabo tylko przedstawia ogrom klęski: aby ją w zupełności pojąć, trzeba było być świadkiem potęgi i spustoszenia, dokonanego przez rozszalały żywioł, i daremnych usiłowań szukających ocalenia wśród fali wody i morza płomieni.

Fakt ten jedno z wybitnych będzie zajmował miejsce w historii, a Ameryka w szczególności nie zdoła go zapomnieć szybko, bo zbyt wiele zabrał ofiar, pomijając szkody materialne, obliczone w przybliżeniu na 25 milionów dolarów. Niemieckie pisma nawoływać poczynają do składek na rzecz nieszczęśliwych, uważając to sobie za obowiązek,

ponieważ stan Pensylwanii zamieszkałym jest przeważnie przez niemieckich wychodźców.

Zbyt ubogimi będąc, walcząc codziennie z tysiącami własnymi potrzebami, nie możemy nieszczęśliwym składkami dopomóc — przynajmniej więc gorące współczucie, tę szczerą daninę serc — w braku innej — im ofiarujemy. Ktoby jednakowoż zechciał tej prawdziwej „dolinie łez“ dopomóc, może posłać datkę na ręce dr. G. Siemens, dyrektora niemieckiego banku w Berlinie, Mauerstrasse nr. 29. (Depositen-Kasse).

H. N.



Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, społeczne i rozmaiteści.

Od Szan. komisji wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu“ odebraliśmy następującą odezwę, którą w całości zamieszczamy:

Kilka lat temu wydział historyczno-literacki upoważnił niżej podpisaną komisją do zajęcia się zbieraniem nazw, odnoszących się do pól, lasów, ruczajów, bagien, kęp, pagórków, skał i t. p., przypuszczając słusznie, że w nazwach tych kryje się jeszcze dużo materiału językowego, niewyżyskanego naukowo.

Odtąd praca ta prowadzi się nieprzerwanie. Ogłaszaliśmy odpowiednie odezwy, zawierzyliśmy stosunki z uczonymi innych dzielnic, którzy nam obiecali poprzeć usiłowania nasze.

Zebrał się też już znaczny materiał; ale jeszcze on nie wystarcza, żeby pracę, z natury rzeczy na szereg lat się rozkładającą, choć w części uważać za zamkniętą.

Ponawiamy zatem i dziś prośbę do wszystkich przyjaciół nauki, a korzystając z pory roku, odzywamy się mianowicie do wszystkich osób, wyjeżdżających na wieś podczas wakacji, mianowicie też do młodzieży uniwersyteckiej i do dojrzałych uczniów, żeby, zażywając wczasu wiejskiego, zechcieli pamiętać o zbieraniu nazw wyżej pomienionych. Rozpytywać się o nie należy mianowicie u starych wieśniaków. Wiemy z doświadczenia, że w wielu miejscowościach nazwy te już się zupełnie zatarły, a postęp kultury coraz bardziej je ruguje z tradycji. To też najwyższy czas, żeby ocalić z zapomnienia, co jeszcze ocalić można. Nie należy się zrażać tem, że mnóstwo nazw, o których mowa, zupełnie pospolite ma znaczenie. Te oczywiście nie wydadzą naukowego owocu; ale między masą zawsze się znajdzie coś ważniejszego. Znajdą się tu i owdzie jeszcze zagadkowe miana, które nieraz dopiero przez porównania i analogie doprowadzą do wyrozumienia źródłowości i t. d. Tak n. p. otrzymaliśmy z Kujaw wiadomość, że miejsce, na którym przed kilku laty nad Gopłem odkryto grób z epoki kamiennej, lud nazywa „Sarkawy“. Nazwa ta jest poniekąd zagadkową i należy zbadać, czy i o ile, w jakich okolicznościach i odmianach ona się u nas powtarza. Wiemy tylko, że i pod Pragę czeską znajduje się miejsce podobne, mające także znaczenie archeologiczne, które nosi miano „Sarka“. Odnalazłszy więcej analogicznych nazw, będzie można dopiero wyciągnąć z nich naukowe wnioski.

Gorąco zatem prosimy raz jeszcze wszystkich przyjaciół nauki, żeby usiłowania nasze poparli, a materiał, zebrany z tradycji żyjącej u ludu, z map terytoryalnych, mianowicie starszej daty i t. p., zechcieli nam nadesłać do Poznania pod adresem któregośkolwiek z niżej podpisanych.

Z uznaniem zaznaczamy, że już wielu właścian świątelskich nadesłało nam spisy nazw z gmin, w których mieszkają. I do nich stosujemy zatem prośbę naszą.

Nadśladając materiał odpowiedni, należy dokładnie podać nazwę wsi, powiatu, prowincyi, kraju, z którego pochodzić będzie.

Poznań, w czerwcu, 1889 r.

Komisja wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego“.

Dr. W. Łebński. Dr. Koehler. Dr. B. Erzepki.

W Hiszpanii, w zamku Alhambrze odbyła się koronacja narodowego poety, José Zorylla, na wniosek artystyczno-literackiego liceum Grenady. Uroczystości trwały od 5—25 z. m. Szczęśliwy wybraniec losu, rodem z Valladolid, przykleknąwszy u stóp królowej Krystyny, otrzymał z rąk jej złotą koronę wśród liczego zgromadzenia poetów i pierwszych dostojników Hiszpanii. W r. 1855 królowa Izabela ukoronowała podobnie złotym laurem poetę, Manuela Quintana.

W Krakowie, na publicznem posiedzeniu akademii umiejętności hr. Stanisław Tarnowski, jako generalny sekretarz akademii, oddał cześć pamięci zmarłych w roku zesłonym jej protektorom i członkom: dr. Alfredowi Biesiadeckiemu, Ignacemu Domeyce, hr. Alfredowi Potocskiemu, dr. Jonatanowi Warszawerowi, i Wawrzyńcowi Żmurce. Na posiedzeniu tem między innymi zdawano sprawę z ważnej kwestyi ustalenia przez akademią pisowni polskiej. Pisownia, przez akademią obecnie używana, nie została jeszcze uznana za tak dokładną, iżby całemu krajowi poleconą być mogła. Ponieważ w żadnej innej kwestyi naukowej nie ma tak wielkiej różnicy zapatrywań, jak w pisowni polskiej, stąd sprawa jej ustalenia nie tak zapewne prędko załatwioną zostanie. Tymczasem oby wszyscy piszący czuwali przynajmniej nad czystością ojczystego języka, chroniąc go od obcych naleciałości.

Portrecista Horovitz otrzymał złoty medal na wystawie paryskiej.

Literat czeski, Hovorka, tłumacz wielu dzieł polskich, otwiera w Wiedniu księgarnię czesko-polską. W stolicy Austrii mieszka przeszło 100 tysięcy Czechów, a 30 tysięcy Polaków, powstanie przeto księgarni dla obu tych słowiańskich narodowości dawno było pożądanem.

Cesarz austriacki rozdał bogate zbiory przyrodnicze, pozostałe po arcyks. Rudolfe, między wiedeńskie szkoły i inne zakłady naukowe. Najtężniejszy zbiór mineralów, zbiór geologiczny i paleontologiczny, 507 wypchanych zwierząt i t. d. otrzymała w darze wyższa szkoła rolnicza; resztę zbiorów rozdano gimnazjom męzkim i żeńskim.

W Paryżu podczas wystawy mają się odbyć dwa kongresy kobiece. Jeden urządziła rzeczpospolita za pośrednictwem ministerjum handlu i przemysłu pod nazwą: „Kongres międzynarodowy dzieł i stowarzyszeń kobiecych.“ Z polskich literatek została nań zaproszoną p. Walerya Marrené. Drugi kongres urządził p. Leon Richer w celu przedstawienia na nim wyrabiania się stanowiska społecznego i ekonomicznego kobiety w różnych krajach i innych kwestyi, dotyczących zakresu moralnego.

O naszym dramatycznym towarzystwie odzywają się pochlebnie pisma warszawskie. Między innymi p. M. Gawałowicz pisze w „Bluszczu“: „W Wodewilu teatr poznański pod dyktando pp. Trapszy i Janowskiego posiada kilka prawdziwych talentów i siły rutynowane; znać po grze, po reżyseryi, po wystawie, że to nie „buda“ wędrowna, w której zbieranina aktorów pokazuje sztuki i hece wyprawia. Odznacza się też Wodewil bardzo korzystnie wśród innych scen ogródkowych doborowym i tylko oryginalnym repertoarem.“

Z tem wszystkie przyznaje korespondent, że w Wodewilu... „są pustki.“ Widać, że publiczność wszędzie jednakowa, a o warszawskiej tak się wyraża: „Publiczność nasza jest kapryśną i niekonsekwentną. Kiedy ją karminą farsami, bombami, tłustą operetką — sarka, ale chodzi do teatru; gdy zaś podają jej czyste i dobre nowalie, odwraca się obojętnie i ramionami wzrusza. Między prasą a publicznością teatrzyki są niby między młotem a kowadłem. Prasa im krzyczy nad uchem i grozi ostremi piórami: — Dzieci, bądźcie przyzwoite, szanujcie sztukę, nie psujcie smaku, bo was chłostać będziemy za karę, aż wam życie obrzydnie. A publiczność woła ze swej strony: — Dawajcie co zabawnego, co *pikantnego*, śmiesznego, bo my się przy piwie nudzić nie chcemy w ogródku!“

Wystawa prac Franciszka Kostrzewskiego w warszawskich salonach Krywulta zgromadza liczniejszą, niż teatrzyki ogródkowe, publiczność. Wystawa ta obejmuje kilka set szkiców, akwarel, obrazów olejnych, które przedstawiają twórczość zasłużonego artysty w ciągu lat czterdziestu. Wszystkie warszawskie pisma nie szczędzą pochwał i uznania dla talentu artysty, który pierwszy w swoim rodzaju zajął oryginalne, całkiem odrębne miejsce w historii polskiej sztuki, a rozśmieszając i bawiąc swoim szlachetnym, szczerym, pogodnym humorem, zachował ów wrodzony takt delikatny, iż dla śmiechu nie poświęcił nikogo, rysowanego paszkwila i krzywdzącej karykatury nie zrobił ani jednej, nie skrzywdził i nie dotknął niczyjej drażliwości. Dzisiaj, dźwigając już siódmy krzyżyk na swoich barkach, pracuje, jak dawniej, bawi i rozwesela wdzięczną mu za chwilę śmiechu publiczność.

Jak Warszawa Kostrzewskiemu, tak Kraków w ostatnim czasie złożył publiczny hołd uznania znakomitemu akwareliście Kossakowi, święcąc uroczyste czterdziestą rocznicę jego zawodu. Przy tej sposobności koledzy, uczniowie i wielbiciele artysty ofiarowali mu wspaniałe album i piękny biust Rygięra; urządono dlań składkową wieczórę, na której wygłoszono kilka serdecznych toastów i odczytano mnóstwo życzeń pisanych i telegrafowanych. Jedno z pism warszawskich, opisując uroczystość jubileuszową Juliusza Kossaka, słusznie zwraca uwagę na fakt na pozór małego znaczenia, że w ofiarowanym Jubilatowi albumie pamiątkowym artystów brakowało tylko... Matejki. „Czy wielki nasz mistrz nie mógł się tam pomieścić, gdzie chodziło o uznanie cudzej zasługi?“ — dorzuca korespondent.

Przytułek dziewcząt, sierot, zostających pod opieką warszawskiego „Towarzystwa dobroczynności“, obchodził d. 1 czerwca 50 letnią rocznicę swego istnienia. Bardzo to pożyteczny zakład. Obok wychowania moralnego w zasadach religijnych — dziewczęta uczą się tu ręcznych robót kobiecych i gospodarstwa domowego, jak: prania, prasowania, gotowania. W ciągu 50 letniego istnienia zakładu wychowało się w nim 570 dziewcząt.

D. 31 maja odbył się egzamin w warszawskiej szkole felczerów cywilnych, na którym otrzymały patent felczerkie także trzy kobiety: Agrypina Zyrycka, Marya Pańczyńska i Anna Kohen.

Promyki.

(Zebrala A. Z.)

Życie — to nieraz droga kamienista, po której idąc, podróżny co chwilę potrąca o coś twardego, co go urazi.

Poezyja nie powinna być melanchlią bezdenną, która zabiera nas życiu, odejmuje obowiązkom i szczęściu, płynącemu z nich.

TREŚĆ: Hrabina Thea. Przez Elżę Polko. Tłomaczyła Anna Pilaska. (c. d. n.) — Nie, to nie boli! . (Wiersz.) Marya Konopnicka. — Korespondencye „Domu polskiego.“ a) Zpoza kordonu. A. M. — b) Ze wsi. — Wielkopolancka. — Z doliny łez H. N. — Wiadomości literackie, naukowe artystyczne, społeczne i rozmaite. — Promyki. — Humorystyczne. — Rozwiązanie łamigłówek w. n. 18. D. p. — Zadanie konikowe z nagrodą za rozwiązanie.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.

Miłość nietylko daje słodkie upojenia, ale stwarza w nas nowy świat uczuć i myśli, a nieraz z manowców sprowadza na prostą życia drogę, umie wydestać z piersi naszej to, co tam jest jeszcze dobrego, czego nie zepsuł świat, nie odebrały ciężkie życia próby.

Błogosławiona istota, która w najboleśniejszych życia chwilach, gdy się traci wiarę i wątpli o wszystkim, przybędzie, jak anioł-pocieszyciel, ze słowami współczucia, miłości i nadziei, wleje otuchę w znękanę serce i nie pozwoli stoczyć się w otchłań rozpacz!

E. Werner.

HUMORYSTYCZNE.

(Zebrala Marya P.)

O c z w a r t e j r a n o: — Mój panie, przepraszam, że go zapytam, czy to słońce świeci, czy księżyc, bo o to sprzeczamy się z moim przyjacielem — osądź pan, kto z nas ma słusność. — Nie wiem, bo nie jestem... tutajszy.

M a ż: — Ależ, żono, nie dawaj mi tych podartych rzeczy, kiedy wiesz, że idę przemawiać na zebraniu.

Ż o n a: — Właśnie dla tego ci je daję; masz mówić o o s z c z e d n o ś c i, więc w takim stroju zrobisz więcej efektu!

D o p r z y j a c i e l a: — *Imaginez-vous, mon cher*, jacy to teraz ludzie są kłótlivi: trzem sprzedałem jedną pszenicę i pogodzić się nie mogą.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI.

w n. 18 „Domu polskiego“:

1. Snez. — 2. Taniec — 3. Antoni. — 4. Narew. — 5. Indygo. — 6. Sempach. — 7. Łuskowiec. — 8. Arka. — Witaj.

Stanisław Jachowicz.

Dobrze rozwiązali: pp. Helena Gustowska, Stella Kozłowska, Marya Łabendzińska i p. Emil Konarski z Poznania.

Zadanie konikowe

ulożył Kazimierz A. A. K. ze Środy.

ro	tno	mi	prze	w la	rze	stą
tak	do	zu	smu	choć	stą	sisz
mi	węj	leś	mną	roz	gni	mo
bla	nie	dzie	dla	tę	ga	ni
wo	bo	czę	la	cho	i	o
bo	sków	mnie	gwia	zlo	mie	za
że	dzie	ty	pro	na	z dę	cisz

Za dobre rozwiązanie n a g r o d a.